



Książki są także do „smakowania”

2023-11-08

Jest! Ukazało się nareszcie drugie, dwutomowe, poszerzone i zaktualizowane wydanie „Encyklopedii Krakowa”, sygnowane przez Bibliotekę Kraków i Muzeum Krakowa. Zapowiadałem je, więc powtarzał się nie będę – odsyłam do księgarń (stacjonarnej i wirtualnej) Muzeum Krakowa. Fakt ten stał się jednak dla mnie pretekstem do refleksji innego rodzaju. Otóż należę do tych, którzy bardzo niechętnie żegnają się z książkami drukowanymi.

Po co wydawać coś tak dużego i niezbyt poręcznego, jeśli dziś wszystko można znaleźć w sieci? – to pytanie, które z pewnością padnie w niejednym komentarzu, poparte dodatkowo argumentami ekologicznymi. I ja taką argumentację byłbym skłonny przyjąć, gdyby moje mieszkanie nie było wypełnione książkami, które napływają do niego kolejnymi falami, wymuszając co jakiś czas mniej lub bardziej bolesne rozstania.

Oczywiście mam czytnik, który pod wieloma względami jest wygodniejszy – mniejszy, lżejszy, z regulowaną intensywnością światła i regulowanym rozmiarem czcionki, no i można na niego wgrać całą bibliotekę. A jednak nadal sięgam po niego tylko w przypadku wyjątkowo wielkich tomów, z którymi niewygodnie byłoby uprawiać lekturę tramwajową (w drodze do i z pracy, w dalszych podróżach), albo książek, których wersji papierowych nie mam.

Dlaczego?

Najprościej byłoby odpowiedzieć, że po prostu lubię poczuć książkę w ręce, czasem ją lekko rozgiąć, a gdy mi się szczególnie spodoba, to także pogłaskać po okładce (z premedytacją nie wspominam o zapachu, bo... niewiele czuję – to skutek licznych punkcji zatok, które przeszedłem w dzieciństwie). Również spojrzenie na zastawione książkami regały sprawia mi zdecydowanie większą przyjemność niż przeglądanie listy książek na czytniku.

No i ta podświadoma obawa, że wszystko, co na czytniku, może nagle zniknąć, wystarczy, że nie zdołam go w porę doładować lub nastąpi jakaś bardziej fundamentalna awaria.

Sama idea zamiany książki papierowej na elektroniczną okazuje się mieć blisko 100 lat. Niejaki Bob Brown po obejrzeniu pierwszego filmu z dźwiękiem, w swym manifestie z 1930 r. miał napisać, że filmy poprzez uwzględnienie w nich dźwięku wyprzedziły książki, dlatego wydawcy powinni znaleźć nowe środki przekazu. Udało mu się też przewidzieć miniaturyzację i przenośną formę czytników – pisał, że maszyna, która zastąpiłaby książki, „pozwalalaby czytelnikowi zmieniać wielkość czcionki, unikać zacięć papierem oraz ratować drzewa”.

Hal Bregg, bohater „Powrotu z gwiazd” (z 1961 r.), jednej z moich ulubionych powieści Stanisława Lema, po 10 latach spędzonych w kosmosie wrócił na Ziemię, na której upłynęło tymczasem 127 lat, i uczył się m.in. korzystania z czytnika książek zapisanych w kryształach. A pierwszy prototyp czytnika powstał w 1971 r. Trochę więc w sumie dziwi, że na pierwszy utwór typowo literacki wydany w formie elektronicznej – „Alicję w Krainie Czarów” – musieliśmy czekać do roku 1991.

Mieliśmy więc sporo czasu na oswojenie się z nadciągającą zmianą, a jednak niektórzy, jak ja, wciąż zachowują do niej spory dystans. Szczególnie bliska wydaje mi się tu postawa zmarłego w



**Magiczny
Kraków**

2013 r. prof. Henryka Markiewicza, legendy krakowskiej polonistyki, który zapytany – po sprzedaży swej gromadzonej przez kilkadziesiąt lat biblioteki Książnicy Pomorskiej – o to, na co przeznaczy otrzymane pieniądze, odparł: „na książki”.

Bo choć książki są przede wszystkim do czytania, to jednak także do „smakowania” – dotykania, wężania, rozginania, a czasem też do pogłaskania. Nie odbierajcie nam ich więc tak do końca!

Ryszard Kozik – z urodzenia i zamieszkania nowohucianin, były dziennikarz „Gazety Wyborczej”, pracownik Muzeum Krakowa